

Jerzy Lesław Ordan
Redakcja Liter. i Report.

195
Dnia 5.X.1980 r.
Godz. 16.05 - 17.30

Wojtki

[Handwritten signature]

K A T A R Z Y N A

Główny Urząd Kontroli Prasy
i Publikacji
Delegatura w Bydgoszczy
ul. ...
Wkład ...
Data 3.X.80
Podpis ...

Koło piątej obudziłem się z nawyku, z tego nawyku, który
kazał mi wyplątywać się z sieci snu, wciągać dres i gnać na
stadion albo do lasu. Głowę jednak miałem jakby napełnioną śmie-
ciami i te śmieci przy każdym ruchu sprawiały mi ból: niepotrzebnie
wypiłem u długiej Katarzyny tyle tego zagranicznego świństwa.

W tym stanie rzeczy nie miałem ochoty wstawać i próbowałem
jeszcze przysnąć. Ale jak na złość wyczuwałem dokładnie pościel,
każdą jej fałdkę i każdą twardość. Przewracałem się z boku na bok,
układałem coraz to inaczej, nim wreszcie zasnąłem, a kiedy się
obudziłem, dochodziła już dziewiąta.

Ogoliłem się szybko i umyłem. Kiedy zszedłem do jadalni,
sprzątnięto ze stołów. Przy jednym z nich dostrzegłem Katarzynę.
Prawdę mówiąc liczyłem na to, że ją tutaj zastanę. Dała mi znak
ręką. Jak to dobrze, gdy znajdzie się ktoś, kto w pewnych
okolicznościach, chociażby mało znaczących, wykona taki gest
pозdrowienia i przywołania zarazem! To nagle zmienia ubogą,
szablonową sytuację, nadaje jej szczególnej barwy. Ale być może,

że to potrafią zauważyć tylko tacy odyńce jak ja...

Podszedłem do niej szybko. - Aleś ty śpioch! - Ja? - zdziwiłem się szczerze, bo co jak co, ale śpiochem trudno mnie nazwać.

Zresztą w jej powiedzeniu wyczuwało się atmosferę żartu. - Zupa mleczna wystygła, kawa wystygła... - Nie szkodzi. Co to jest? -

podważyłem nożem brunatną maź na talerzu. - Pasztet z podrobów, specjalnie doprawiony. - Jadalny? - Owszem. - Dżem także, widzę, jest! Ilekroć spojrzę na dżem, przypomina mi się pewna historyjka.

Miałem przyjaciela, dyskobola... Dlaczego dyskobola? - Pytanie!

Bo rzucał dyskiem. - Ty także? - Nie, biegałem. - I co? - Był niesamowitym żarlikiem. Jeździł na wszelkie zgrupowania, obozy, by móc najeść się do syta. A nie masz pojęcia, jak nas karmiono!

Na przykład w Spale. Byłeś kiedyś w Spale? Tam też są domy wczasowe.

I właśnie ten mój przyjaciel... Żaden olbrzym, jak można by przypuszczać? Wzrostu trochę więcej, niż średniego, platynowe włosy, to nawet śmieszne, kiedy widzi się mężczyznę z takimi włosami, na oczach grube szkła... Przez te szkła nie wyglądał na sportowca, a raczej na urzędnika, takiego, co godzinami wypatruje w papierach tego, czego tam nie ma... - I tak mi mija życie, co? - Był okropnym żarlikiem! Nie uwierzyłbyś, ile potrafił zjeść.

Każdy oddawał mu, czego nie zmógł. Pozostawał sam w stołówce i pochłaniał wszystko do ostatniego kęsa. Kiedyś po zjedzeniu dodatkowych porcji stwierdził, iż na stole nie ma, jak zazwyczaj, dżemu. Zawołał więc do kelnerki: - A dżem dzisiaj nie przysługuje? - Spojrzała nieprzytomnie na stos talerzyków przed nim, ale po chwili przyniosła dżem. Sam to opowiadał i odtąd skojarzył mi się przede wszystkim z dżemem. Zabawne, co? - Bo ja wiem...

Odsunąłem niedojedzoną zimną zupę mleczną i wyszliśmy do hallu, a stąd przed budynek. Na ławkach pod ścianą, wokół niedużego klombu z różami i dalej wzdłuż alejki wysadzonej świerkami stały ławki, na których wysiadali letnicy. To była ta chwila po posiłku przeznaczona na wypalenie papierosa i zastanowienie się, co dalej robić. Katarzyna sięgnęła do torby po charakterystyczną kolorową paczuszkę i zapalniczkę. - Ty oczywiście nie palisz? - Oczywiście nie. - Słusznie robisz. - A dlaczego ty niesłusznie? - Bo taką już mam naturę... - Aha! To co innego...

Zadarłem głowę do góry: obłoki zasłaniały i odsłaniały słońce. Nie było za ciepło. - Nie popłyniemy dziś kajakiem! - Spojrzała na mnie poprzez wydmuchiwany dym niby poprzez gałęzie - nawet światłocienie rozsypały się jej po twarzy: - Łatwo się złościsz!

Za łatwo. - Na moment zastygłem w sobie, nim zachnąłem się, ale w sposób tak ukryty, że mogła tego nie zauważyć: - Nie mówisz tego, ma się rozumieć, poważnie! - Mówię tak, jak sobie życzysz. - To dobrze! Cieszę się...

Z "Jutrzenki" wyszła grupa wczasowiczów ubranych plażowo, z ręcznikami i torbami. Kilka osób z siedzących na ławkach dołączyło do niej. Kierowano się do przystani. - Pójdziemy do lasu, co? Na grzyby - zmiękczyłem głos, przynajmniej starałem się zmiękczyć. - Jak chcesz. Ale co z nimi zrobimy? - Ususzy się i zabierzesz do domu. - Dlaczego ja? - Bo mnie niepotrzebne. - Tobie... - Nie czekałem, co dalej powie, z pewnością nic by w tej chwili nie powiedziała, i ruszyłem wolno przed siebie. Oddaliłem się kawałek od niej i dopiero po chwili odczułem, że mnie dopędza.

Poszliśmy dróżką oddalającą się od jeziora. Potem przy modrzewiowym miodniku skręciliśmy w prawo. Wkrótce weszliśmy w wysoki, mieszany las, nieco podmokły i brzęczący komarami, przed którymi trzeba się było czasem oganiać. Wycieczka nie zapowiadała się atrakcyjnie, ale nic nie mówiła. Szła obok mnie długa, zapatrzona w swoje czerwone sandały, dygocąca od czasu do czasu niby przy nagłym, ostrym podmuchu, posłuszna. Zresztą, gdyby nie chciała,

gdyby miała jakieś pretensje, też bym nie zawrócił - poszedłbym sam.

Przyśpieszyłem kroku, by wydostać się jak najprędzej z tego mało przyjaznego lasu. Wkrótce trafiliśmy na teren mocno sfalowany: podchodziliśmy zboczami i schodziliśmy, w sposób naturalny, przynajmniej takie odniosłem wrażenie, i wędrowaliśmy niby zgodnie, wciąż jednak milcząc, co wydawać się mogło oczywiste, bezpretensjonalne, wynikające jakby z podświadomego porozumienia.

Po pewnym czasie las zrzedniał, było w nim jaśniej - zbliżaliśmy się do skraju. Odczułem coś jak ulgę, każdy bowiem las wydaje mi się większy, niż jest w rzeczywistości i każdy identyczny - z trudem odróżniam szczegóły: ścieżki, dukty, polanki, kopczyki, doły. Dlatego w każdym czuję się swobodny i bezradny zarazem.

Znaleźliśmy się na długim, łagodnym zboczu, gdzie las jakby się kończył. Rosło tutaj dużo leszczyny, właściwie nawet sama leszczyna. - Orzeszki! - pokazałem jej wolną ręką. - Aha! - niby się ucieszyła i zatrzymała. Ale nie byliśmy tutaj pierwsi: na drzewkach, a właściwie drzewo-krzakach, dokąd można było tylko sięgnąć ręką, orzechy zostały niemal całkowicie oberwane. Gdzieś niedzie złamana gałąź zwisała żalostnie jak kawał szmaty, a liście straciły już swoją świeżość, swoją zieloność, podeschły. Na ziemi było pełno łupin. Znalazłem nawet pień, na nim dwa kamienie

do rozbijania orzeszków, a wokoło pozostałości po nich.

Usiedliśmy na tym pniu. Katarzyna wyciągnęła przed siebie swoje długie nogi i zdawała się być nimi zaabsorbowana. Rozbijałem orzeszki, które mogłem jeszcze tu i ówdzie znaleźć i równo obdzierałem nas. Gryzła twarde kulki z brązową skórką prawie nie ruszając wargami. Trwało to dość długo. W lesie było spokojnie, liście poruszały się monotonnie i można było nawet przysnąć, na pewno bym przysnął, gdybym nie był zajęty wyszukiwaniem, rwaniem i rozbijaniem orzeszków. Wreszcie Katarzynie znudziło się:

- Wystarczy! Chodźmy! - Zaczekaj, jeszcze mamy... - Coś ty taki zachłanny? - Bom z chłopów, a to już leży w naturze chłopskiej! Nie słyszałaś? - Z chłopów? To interesujące! - Widzisz, jakie miałaś szczęście... - A, tak, tak! - Miałem ochotę przyciągnąć ją i pocałować, ale przypomniałem sobie wczorajszy pobyt w jej pokoju i otrząsnąłem się.

Wstała i ruszyła wolno przed siebie. Rozbijałem cierpliwie resztę orzeszków obserwując ją spod oka. Zbocze z leszczyną wciąż podnosiło się łagodnie i jej odchodzenie stawało się jakby coraz wolniejsze i majestatyczniejsze. Na wierzchołku zatrzymała się, chwilę trwała w bezruchu, po czym obróciła w moją stronę:

- Chodź! - Nie odpowiedziałem, nie poruszyłem się. - No, chodź, orzechojadzie! - Zostało mi już tylko kilka orzeszków na jej "Przekroju", dokładnie na twarzy jakiejś divy, więc podniosłem się i zacząłem iść bez pośpiechu. - Szybciej, szybciej! - przynagliła mnie bez skutku.

Kiedy stanąłem obok niej, zobaczyłem, że przeciwległe zbocze wzniesienia jest strome i prowadzi prosto do jeziora, niedużego, przypominającego swoim kształtem nerkę i okolonego sosnowym lasem; tylko w miejscu, gdzie staliśmy był prześwit. Woda na środku jeziora miała odcień przytłumionej zieleni, natomiast przy brzegach - smolisty. Ledwie widoczne fale przesuwały się do trzcin. Było pusto, cicho, jak przed snem. - Pięknie, prawda? - Nie spojrzałem nawet na nią. - No, powiedz, że pięknie! - schwyciła mnie za rękę, ale wyrwałem jej gwałtownie, na pewno za gwałtownie. Trwała chwilę w zaskoczeniu, nim odezwała się: - Dlaczego jesteś taki? - Jaki? - No, taki opancerzony! - Ja? - Ty, ty! - Znasz się na ludziach, co? - Trudno z tobą... - Nie cierpię takich, które udają, albo którym się zdaje, że wiedzą... - Nie powiem już nic więcej! - To najrozsądniejsze postanowienie...

Zacząłem schodzić nad wodę. Stała jeszcze przez moment u góry, nim znalazła się obok mnie: - Wykapiemy się, co?

- Zaraz znaleźliśmy się na dole i szliśmy wzdłuż brzegu szukając dostępu do wody. Ale nie było to proste - wszędzie trzciny.

Wreszcie trafiliśmy na pomost dla wędkarzy. Był częściowo zniszczony: żerdzie nadpróchniały i odpadały. Trzeba było uważać nie tyle nawet, żeby nie wpaść do wody, ile żeby nie skręcić nogi. Ostrożnie przedostałem się na jego kraniec i spojrzałem w toń: nie było widać dna. W zielonkawo-smolistej głębinie drżały wodorosty i kiedy prawie nieodczuwalny wiatr falował powierzchnię, nikięły gdzieś zupełnie, by po jakimś czasie znów się pojawiły. Tuż przy pomoście nie było ich i zdawało mi się, że widzę dno, choć czy dno mogłoby być tak ciemne, niewyraźne, niby z sadzy? Na pewno jednak zauważyłem jakieś pręgi, niektóre z nich przesuwają się, przesuwają - rozpoznawałem ryby; od czasu do czasu któraś w gwałtowniejszym ruchu błysnęła srebrnie jak upuszczona agrafka? - No? - usłyszałem za sobą. Była już w opalaczach. Podeszła na krawędź i zsunęła się z pomostu. - Masz dno? - Zdaje się, że tak, ale nieprzyjemne.

Wróciłem na brzeg, zdjąłem sandały, dzinsy i koszulę, po czym przeszedłem znów na koniec pomostu i z rozmachem dałem nura.

Poszedłem za głęboko i poczułem na twarzy wodorosty niby mokrą bieliznę. Staralem się uwolnić od nich, ale nie było to łatwe -

sterczały wysoko, prawie pod samą powierzchnię wody. Wypłynąłem kilka metrów za Katarzyną. - Ooo! - zdziwiła się w sposób chyba naturalny. - Płyniemy na drugi brzeg? - Boję się. - Czego? - Kurcz może mnie złapać... - To nie tłucz tak nogami, płyn spokojnie!

Woda wydawała się coraz cieplejsza: albo wpłynęliśmy na obszar bardziej nagrzaną, albo też ciało przyzwyczajało się do jej temperatury. Przeciwległy brzeg jakby się przybliżył, ale upłynęło jeszcze sporo czasu, nim rzeczywiście znaleźliśmy się w jego pobliżu. Był bardziej zarośnięty, niż nasz i mroczniejszy, więc woda wydawała się przy nim ciemniejsza.

Płynęła za mną w pewnej odległości, więc zaczekałem aż się przybliży: - Jak się czujesz? - Musimy zawracać, zmęczyłam się. - Przewróć się na plecy i odpocznij! - Włosy zamoczę. - Podłóż ręce pod kark. - Na żarty ci się zebrało! - Wcale nie. - Pomogę ci! - przysunąłem się do niej blisko, tak blisko, że dotykałem jej ciała opiętego pokrowcem chłodu, obcego przez ten chłód. Dotykałem niby wielkiej mały, której wydobyć z głębin wydaje się niemożliwe, mimo że jest tak odczuwalna w dłoniach, na skórze, we krwi.

Starala się leżeć spokojnie, nieruchomo, poruszając tylko końcami nóg i rąk; włosy zamoczyły się, ale tylko z tyłu i nie

zwracała na to uwagi. Jej źrenice zwężone poprzednio od blasku zaokrągliły się teraz w cieniu, jaki dawały przybrzeżne spony.

Pojawiła się w nich mikroskopijna, ledwie dostrzegalna rybka: podpływała, wystawiała na moment pyszczek i zaraz ginęła w głębi.

Po chwili znów się pojawiała... Obserwowałem ją usilnie, ze szczególnym napięciem, aż uczulem jakby ból...

Naraz rybka zamigotała gwałtowniej: - Nie boisz się, że ktoś mógłby przyjść tutaj, na spacer albo na wędkowanie i znaleźć w trzcinach dwa trupy, wzdęte, może już cuchnące... - Odepchnąłem ją wściekle: nie zdążyła nawet krzyknąć, zamajtała gwałtownie rękoma, zanurzyła się wraz z głową i chyba napiła wody. Po sekundzie szamotania wypłynęła na powierzchnię i wybelkotała nie tyle z wściekłością, co z jakimś przestraczem: - Co ty wyprawiasz? Jesteś nieobliczalny! Zupełnie jak... - Nie słuchałem już jej, płynąłem szybko do pomostu, najszybciej jak mogłem.

Dobiełem do niego i wydzwignąłem się z wody, wydzwignąłem jak z zapaści, ze snu ciężkiego i poczłapałem na brzeg, wolniutko, ostrożnie stawiając zmartwiałe i jakby wybielone stopy na chwijających się i nadgniłych żerdziach, poczłapałem nie oglądając się na nią, zanurzoną po włosy w smolisto-zielonkawej cieczy i zmagającą się nieudolnie z tą cieczą. Zatrzymałem się przy naszych

ubraniach i dopiero wtedy rzuciłem okiem za siebie jak zły koń, koń, który przyprzągnięty do wozu czeka tylko na okazję, żeby zemścić się na woźnicy, capnąć go zębami albo dosięgnąć kopytem.

Stała na pomoście, na jego brzeżku, i wyżymała włosy; długo i cierpliwie zajmowała się swoimi włosami jakby nie miała już nic innego do roboty albo jakby inne zajęcia nie miały takiego znaczenia. Potem zeszła na brzeg, wolniej jeszcze, niż ja, ale pewniej, bez najmniejszego zachwiania, potknięcia, owinęła się w swoją frotową, rozpinaną z przodu sukienkę i nie patrząc na mnie ruszyła wzdłuż brzegu. Przez chwilę wahałem się, przez jeden głupi moment, ale chwyciłem swoje spodnie, koszulę, sandały i pośpieszyłem za nią w pewnej odległości, jakiś wyciszony, spokorniały czy tylko tamujący w sobie złość.

Zatrzymała się na polanie, malutkiej jak paznokiec, nasłonecznionej, obrośniętej jałowcami, tymi jałowcami, które stróżują przy miejscach ciszy. Ściągnęła mokre opalacze zręcznie manewrując pod suknią i powiesiła na najbliższym drzewku, po czym rozejrzała się gdzie usiąść. Szybko, może nawet za szybko rozłożyłem dzinsy, rozciągnąłem na trawie i wskazałem jej. Usiadła na nich bez słowa, ale jakby i nienaturalnie. Przykucnąłem obok.

Było zacisznie i ciepło - wiatr zdawał się nie dobiegać tutaj,
choć tarmosił czubki drzew, potrząsał nimi, i co chwilę
chowało się słońce.

- - - - -